TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

Vol. 4 Nr. 15 (172) Nowy Jork, 14 kwietnia — New York, N. Y., April 14, 1946 Cena 20 ct.



HOOVER NA STAREM MIEŚCIE W WARSZAWIE

WANDA BOJCZA-BABIŃSKA

POEMAT WIOSENNY

Jakże ja mam wyrazić i oddać słowami
To uczucie, gdy drzewa szumią pod oknami
Nie tutaj — ale w kraju? Opisać, jak wiosną
Na polnych drogach pachną zioła co tam rosną?
Jak wymalować zdaniem ten cud pełen treści
Gdy na wieczornym wietrze brzoza zaszeleści?
Gdy pod nogą jest grząsko na grobli przy stawie,
I bocian, zwykły bocian stoi w mokrej trawie...
Gdy tak spokojnie, cicho i rzewnie jest czasem
Kiedy słońce zachodząc zapłonie nad lasem
I zwolna się za drzewa poczerniałe toczy
Ustępując przed nocą co ma gwiezdne oczy.
A potem łódź księżyca na niebo wypłynie
I błądzi tajemniczo po ciemnej głębinie...

Jak ja mam to wyrazić?
Istnieje tęsknota
Która serce tak skuje, tak duszę omota
Że zabija, ach wierzcie, najsilniejszych z ludzi,
Zwłaszcza na wiosnę. Wtedy, gdy ziemia się budzi.
I wiem, że zapach gleby gdy w nozdrza uderzy
Powala najdzielniejszych, najśmielszych żołnierzy.
Bo zaraz im się marzy, zaraz im się zdaje
Że to zapach z Ojczyzny. I płaczą za Krajem.

Choć to nie ten sam zapach.
Bo któż mi nie przyzna
Że wiosną właśnie, pachnie inaczej Ojczyzna?
Inna nuta brzmi w ptaków romantycznym śpiewie
Tam inna zieloność na zbudzonem drzewie,
Inaczej szumią trzciny przy cichem jeziorze,
Inną jest szara skiba na świeżym ugorze.
I niebo, które także inaczej tam świeci
Odbija się tak ślicznie w oczach polskich dzieci.
A dzieci mają takie płowe, jasne włosy
Jak te rosnące łanem, falujące kłosy.
Jak ja mam to wyrazić?
Wiem, że jeszcze wcześnie,
Że tę wiosnę niestety, ja wciąż widzę we śnie.
Że ta wiosna, o której marzyłam przez lata
Taka hojna w zapachy, w kolory bogata,
Taka własna i polska — jest jeszcze daleko.
I jeszcze nie czas dzisiaj na bociana klekot
Ni na koncerty chóru żabiego na łące,
Ni na trele słowika pośród gąszcza drżące...

Ja wiem.
Tam chodzi smętny wicher po ugorze
I płacze. Cicho płacze, bo śpiewać nie może.
Przecieżby nie zaśpiewał na "narodną nutę"...
Niebo tam także smutne, ciężką mgłą zasnute
Tak jakgdyby nie chciało się patrzeć na ziemię.
Słońce wciąż czegoś czeka i za chmurą drzemie.
A tam, popatrz. Pod lasem, niedaleko miedzy
Trochę ziemi ruszono. Kto ruszył? — Koledzy.
To oni rozkopali nieco czarnej roli,
Złożyli towarzysza wojennej niedoli,
I przyklęknąwszy — chwilę coś cicho szeptali.
Pewnie pacierz. I wziąwszy broń swą, poszli dalej.
A dobra, mądra ziemia śladów nie zatrzyma,
Nie chce zdradzić tych chłopców z siwemi oczyma
Niech wędrują i niech im Pan Bóg błogosławi.

A księżyc się nocami nie srebrzy lecz krwawi,
Odbijając w swej tarczy tyle krwi niewinnej...
On też marzy o wiośnie. Ale o tej innej.
Ja wiem.
Tam wiosna przecież nie nadeszła jeszcze.
Taka, która ugina bzy ulewnym deszczem,
Aby za chwilę krzewy stanęły w rozkwicie
Jeszcze większem, piękniejszem
napęczniałe *życiem,*
Taka, która się piosnką oznajmia beztroską,
W kwiaty zdobi kapliczkę z białą Matką Boską,
I w maleńkich, taniutkich jakichś wazonikach
Stawia drobne konwalje na nocnych stolikach.

W ogrodach krążą wtedy zakochane pary,
Nad stawem się unoszą liljowe opary,
A oni z sercem w oczach składają przysięgę
Naiwnie wierząc w miłość, w uczucia potęgę
Które trwa, jakże krótko.... I gdy przyjdzie jesień
Cóż w duszach pozostanie z miłosnych uniesień?
Serca warzą się prędko, tak jak warzą kwiaty.
Jesienią — w listopadzie dzieją się dramaty
Ale nigdy na wiosnę. Ona — to królewna,
Która przychodzi rzewna i zwiewna i śpiewna
Budząc całą naturę czarodziejską różdżką.
I wszystko zielenieje pod jej lekką nóżką,
I wszystko nagle staje się jakieś radosne.
Trzeba wtedy coś kochać. Więc kocha się wiosnę.
Ach, każdy z nas tak przecież bywał zakochany
Właśnie wtedy. I nie wiem. Czy bzy czy kasztany
Kwitnące to sprawiały? Nie wiem. Ale w kraju
Pamiętam, gdy kto kochać miał—to zawsze w maju.

To tak dawno już było.
Nie — jeszcze zawcześnie...
Jeszcze tam nie zakwitły przy drogach czereśnie.
Jeszcze tam wciąż jest jesień. Daleko do maja,
Który durzy i mami, czaruje, upaja.
A wiosna — jeśli nawet przyjdzie wiosna jaka
Nie może być beztroską dla serca Polaka.
On — uśmiechu zapomniał. A jeżeli kocha
To nie wiosnę. Ojczyznę, uwięzioną w lochach.
I póki tej Ojczyzny nie wyrwie z niewoli,
To wiosną — czy nie wiosną, wciąż go serce boli.
On nawet we dnie myśleć, marzyć nie ma czasu.

Bo właśnie ktoś z rodziny wymknął się "do lasu"
Bo właśnie kogoś dzisiaj rano rozstrzelali,
Bo ktoś przeszedł "zieloną" i dał znać z oddali
Bo znowu wczoraj była strzelanina w mieście,
Bo funt masła kosztuje złotych sto czy dwieście,
Bo żonę jakiś "sowiet" zaczepił wieczorem,
Bo niema na doktora, a dzieci są chore,
Bo tysiąc spraw palących mózg i serce tłoczy,
Ale nocą — gdy przymknie wkońcu biedne oczy
Czasem sen miłosierny weźmie go za rękę,
I nucąc zapomnianą a miłą piosenkę
Powiedzie go w kraj wspomnień.
W kraj bardzo szczęśliwy.

Więc ujrzy wtedy znowu dziwy i nie dziwy.
Zobaczy mokrą łąkę i groblę na stawie,
I białego bociana na wilgotnej trawie,
I srebrną łódź księżyca na nieba głębinie...
Usłyszy śpiew słowika skrytego w gęstwinie,
Poczuje jak konwalje pachną nad parowem,
I zobaczy nad stawem opary liljowe,
I po parku pochodzi przy blasku księżyca
Szepcząc cichą przysięgę co serce zachwyca.
Ciepły wiatr lotnem skrzydłem czoło mu pogłaska.
Cicho. Taki sen przecież — to jest wielka łaska.
Tak mu teraz na sercu lekko i radośnie.
Cicho. Niechaj odpocznie. I niech śni o wiośnie...



Prezydent Hoover na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie, w miejscu gdzie stał pomnik Wdzięczności Ameryce, wzniesiony za pomoc okazaną Polsce po pierwszej wojnie światowej przez Stany Zjednoczone. Na czele tej akcji stał wówczas Herbert Hoover, późniejszy prezydent, a obecnie po raz drugi niosący tę samą pomoc jako specjalny wysłannik prezydenta Trumana.

JAN DĄBROWSKI

UDZIAŁ CHŁOPA W PRZESZŁOŚCI POLSKI

Praca drukowana w krakowskim "Tygodniku Powszechnym".

(Dokończenie)

CZASY PIERWSZYCH PIASTÓW

Jak zaznaczyłem poprzednio, w świetle tych badań zniknęły bezpowrotnie teorje o podboju Polski, o wyrosłej na nim warstwie panującej obcej, czy słowiańskiej, zniknęły co więcej tezy o wczesnym jakoby podziale stanowym pierwotnej Polski, o istnieniu w początkowych czasach zwartej i wpływowej warstwy rycerskiej, czy nawet szlacheckiej. Społeczeństwo polskie za pierwszych Piastów, to społeczeństwo naogół bardzo jednolite, złożone w swej rdzennej masie z jednej warstwy, a mianowicie z warstwy ludzi wolnych, drobnych posiadaczy osiadłych na ziemi własnej czy rodowej, słowem społeczeństwo wolnych kmieci. W porównaniu z nią wszystkie inne warstwy są szczupłe i mało znaczne, tak liczebnie, jak gospodarczo. Ludność niewolna stanowi niewielki odsetek ludności, wyrastające zaś ponad całą masę wolnych jednostki możniejsze, wznoszące się przez urząd czy majątek, są zaledwie oznakami zaczynającego się różnicowania społecznego. To różnicowanie odbywa się wprawdzie coraz to wyraźniej, ale trwać ono będzie całe wieki, zanim przyniesie rezultaty w postaci wytworzenia sie stanu. Wykrusza się ta masa wolnych kmieci, zarówno przez spadanie słabszych jednostek do niewolnych i powstanie warstwy przypisańców, jak i wydobywanie się ku górze własnemi siłami lub decyzją księcia, coraz to nowych jednostek. Niemniej przez prawie dwa wieki jest to warstwa stanowiąca rdzeń i istotę narodu, budująca wtedy fundamenty gospodarczo-społeczne państwa polskiego. To jej dziełem zaczętem już znacznie wcześniej, jest w ogromnej, jeśli nie w wyłącznej mierze, zasiedlenie ówczesnej Polski, zdobycie pod uprawę rozległych przestrzeni pierwotnych borów, stworzenie podstaw naszej kultury rolnej. Kmieć ma wówczas prawo i możność pójść wysoko w hierarchji państwowej. Nie darmo dynastję piastowską wywodzono od kmiecia. Jeszcze pod koniec XI w. możny wojewoda Sieciech wynosić będzie na naczelne stanowiska ludzi kmiecego pochodzenia.

Jeszcze jednego momentu twórczego nie można tu pominąć. Polska wczesno - średniowieczna stworzyła przecież rodzimą formę osad miejskich. w postaci podgrodzi i miejsc targowych, skupiających handel i rzemiosło. Któż stworzył i kto zaludnił te pierwsze osady miejskie? Nie obcy, poza małymi wyjątkami, przybysze, ale znowu polska ludność wiejska, szukająca lepszych warunków bytu i swobody z chwilą, gdy we wsi warunki te zaczęły się pogarszać. Nie wszystkie powody i etapy, tej zmiany są nam znane, tak, jak nie stwierdzono dotąd dowodnie, kiedy i jak na księcia przeszło prawo do ziemi.

Niezmiernie cenne światło na strukturę społeczną ówczesnej Polski rzucają natomiast badania nad historją wojskową tej epoki naszych dziejów w myśl niewzruszonego bodaj dla wszystkich czasów pewnika, że organizacja wojskowa danego państwa jest wykładnikiem jego struktury gospodarczej i społecznej, że z danego społeczeństwa nie da się wyczarować żadnej innej armji, jak tylko taką, jaką mu zorganizować pozwoli jego układ społeczny i walory gospodarcze. Studja, jakie przeprowadziłem nad średniowieczną wojskowością polską, doprowadziły w pełni do potwierdzenia konieczności rewizji wielu dotychczasowych na nią poglądów, w kierunku myśli rzucanych już przedtem doraźnie przez niektórych badaczy. Musimy sprowadzić do skromniejszej, znacznie skromniejszej, miary rolę rycerstwa przynajmniej do końca XI wieku, stanowczo zaś zredukować rolę przypisywaną w ostatnich czasach, niewątpliwie przesadnie, drużynie. O tem, jak wyglądało ówczesne wojsko polskie, dowiadywać się trzeba nie z opisów wspaniałych przyjęć dworskich, ale z opisów i rozbiorów bitew. I jeszcze jedno mamy źródło: źródło w prochach, jakie gromadzi nasza ziemia, a które dziwnie się zgadza z tem, co powiedzieliśmy powyżej. W setkach grobów tych czasów przekopanych przez naszych prehistoryków nie potykamy śladów wspaniałego rycerstwa. Leżą w nich skromni wojownicy naszych Bolesławów, zbrojni, jak świadczą znaleziska w oszczepy, łuki, siekiery i noże. Rzadko trafia się ostroga, wyjątkowo miecz. Ta kmiecia piechota było podstawą siły zbrojnej Mieszka, Chrobrego i Śmiałego, bodajże ku czasom nawet Krzywoustego. Ona wygrywa bitwy i zdobywa grody. Rycerstwo, na którego brak tak skarżyć się miał Bolesław Chrobry, narasta bardzo powoli. Niewątpliwie występuje jako czynnik bardzo poważny w operacjach wojennych, jazda. Z góry jednak trzeba tu stwierdzić rzecz zasadniczą: wojownik konny może być również dobrze kmieciem, tem więcej, że rycerz w tym czasie, to zawód, a nie stan. Zawód, który daje coraz więcej korzyści, zmieniających się później znacznie w przywileje. Rycerz to nie szlachcic. Może nim być możny bogacz i urzędnik książęcy, może nim być wolny kmieć, może nim być wreszcie człowiek niewolny, albo półwolny. Wiemy o istnieniu w Polsce rycerstwa służebnego. Mamy nieodparte dowody stwierdzające istnienie jeszcze w XIII wieku rycerzy nie pochodzących z rodów rycerskich.

Wolny kmieć jest zatem w czasach bolesławowskich nie tylko głównym gospodarzem polskiej ziemi, ale jest także głównym jej obrońcą. Pozostaje nim cały wiek następny. Mimo wytwarzania się rycerstwa, zbrojne ramię księcia byłoby bardzo słabe, gdyby w chwili najścia nieprzyjaciół nie powoływał pod broń całej ludności chłopskiej. Chłop też budował wtedy i naprawiał grody, rąbał zasieki w puszczach, i pełnił stróżę po grodach i po bronach granicznych.

OKRES WOLNOŚCI KMIECEJ

Różnicowanie się społeczeństwa w ciągu epoki książęcej, sprowadziło niewątpliwie pogorszenie się pozycji chłopa, sprowadziło coraz to silniejsze uzależnienie go osobiste i gospodarcze od wielkiej własności. Niemniej jednakże, ewolucja gospodarczo-społeczna, jaką w tym czasie przechodziła przeważna część Europy, dosięgnęła rychło i Polski i sprowadziła radykalną zmianę w położeniu ludności wiejskiej. W XIII wieku rozpoczyna się okres sięgający w głąb

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
157 East 64th Street
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

XVI wieku, który pod kątem widzenia stosunków gospodarczych, społecznych, a przeważnie politycznych, nazwać należy okresem Polski stanowej. Jest on w przeważnej części okresem równowagi stanów zwichniętej pod koniec na rzecz przewagi jednego stanu — szlachty. Z tym okresem, który jest zarazem czasem największej wolności i najsilniejszej pozycji prawnej, oraz największego dobrobytu gospodarczego chłopa w dawnej Polsce, tak jak jest zresztą okresem świetności miast, związane są momenty najświetniejszego rozwoju i rozrostu państwa polskiego, największej jego potęgi i początki świetności polskiej kultury; podcięcie w okresie jej świetności, w XVI w., równowagi stanów, podcięło i normalny obieg krwi w organizmie społeczeństwa Polski i spowodowało w następstwie przygaśnięcie blasku tej kultury.

Przejście od gospodarki naturalnej do pieniężnej, spowodowało i w Polsce nowe formy ustroju agrarnego, gospodarkę czynszową zwaną u nas popularnie kolonizacją na prawie niemieckiem. W praktyce oznaczała ona przejście przeważnej części wielkiej własności zarówno monarszej ,jak kościelnej i rycerskiej, do rąk chłopów na zasadzie czynszów. Szła z tem wolność osobista chłopa, samorząd administracyjny i sądowy wsi, określenie wzajemnych praw i obowiązków na podstawie kontraktów. Ta wielka reforma rolna naszego średniowiecza, przyniosła ze sobą nowe wzmocnienie, osadnictwa polskiego, podniesienie stanu gospodarczego i dobrobytu zarówno chłopa, jak i właściciela ziemi. Chłop siedzący na sporym szmacie ziemi, mógł się dorabiać, mógł się starać o lepszą przyszłość dla swoich dzieci. Cóż mówić o sołtysach, wyposażonych w ziemię i dochody, niegorzej od pana! Chłop odpowiadał przed swoim sądem; przed nadużyciami broniła go długo ręka monarchy, czuwająca właśnie w interesie monarchy nad utrzymaniem równowagi stanów.

Jest dzisiaj rzeczą już bezsprzecznie udowodnioną, że t. zw. kolonizacja na prawie niemieckiem, dokonywała się, jeśli idzie o wieś, w małym tylko procencie i to głównie w początkach, żywiołem obcym. W przeważnej części przeprowadzona była żywiołem polskim. Wiele t. zw. lokowanych wsi jest poprostu wsiami polskimi przeniesionymi tylko na nowe prawo, w bardzo wielu zaś nowo osadzonych, zwłaszcza w okresie największego nasilenia tej akcji w wieku XIV, osiadał chłop polski sprowadzony z innej części kraju, a nieraz z sąsiedztwa. Liczne są przypadki, kierowania tą akcją kolonizacyjną przez sołtysów i bogatszych kmieci polskich, którzy dorobiwszy się nieco grosza, umieszczali go w akcji osadniczej. Znów więc chłop polski wystąpił tu jako współdziałający, świadomy czynnik twórczy, jako podmiot akcji kolonizacyjnej, rozszerzającej gospodarczo, a nawet i terytorjalnie potęgę ojczyzny.

Dla dzieci chłopskich otwarta jest droga do poprawy bytu. Kształcą się synowie chłopscy nie tylko w szkołach niższych, ale niebawem i zasiądą także na uniwersytecie krakowskim, nie tylko na ławach, ale i na katedrach profesorskich. Niektórzy spróbują studjów za granicą. Karjera duchowna otwiera im drogę do znaczenia, zaszczytów i dochodów, do podniesienia całej rodziny ku górze. Znakomity i znany w świecie mistrz teologji śmiało będzie mówił przy promocji swej na uniwersytecie krakowskim w roku 1432 o swojem chłopskiem pochodzeniu. Ze wsi polskiej przyjdzie na katedrę krakowskiej wszechnicy niejeden jeszcze syn kmiecy, żeby tylko wymienić znakomitego teologa i prawnika, a wielokrotnego rektora uniwersytetu: Jana z Dąbrówki, — następnie głośnego profesora medycyny i wykształconego we Włoszech humanisty Jana z Ludziska znanego ze swej mowy na temat doli chłopa polskiego, a wreszcie kanonizowanego później patrona tej wszechnicy, św. Jana Kantego, pochodzącego ze skromnej wsi pod Kętami. Zabłyśnie pod koniec tego okresu w świetnym blasku poetycka gwiazda Klemensa Janickiego, dochodzącego do szczytów subtelności kultury humanistycznej. To tylko kilka przykładów. Wieś polska zasila wszakże jeszcze elitę umysłową polską tych czasów inną jeszcze, pośrednią drogą. Miasta polskie zaczynają pod koniec średniowiecza nabierać coraz wyraźniej polskiego charakteru. Któż tego dokonał? Niewątpliwie polszczyli się z biegiem czasu Niemcy — siedziała też w miastach oddawna część ludności polskiej. Przedewszystkiem jednak napływała do tych miast coraz to liczniej polska ludność wiejska. Na darmo zakazywano przyjmować ją do miast, nie chcąc wyludniać okolicznych wsi. Chłop napływał do miast, choćby szparami i szczelinami — imał się pracy w rzemiośle, a gdy lepiej, i w handlu i polszczył coraz to szybciej osadzone obcymi przybyszami miasta. Z tych zaś miast, ambitniejsze i bardziej przedsiębiorcze jednostki szły jeszcze dalej, w oparciu o pieniądz nabywały dobra, wchodząc w skład szlachty, przez naukę i suknię duchowną zmierzały do godności kościelnych, czy politycznych. Tą drogą kmieć polski w drugiem, czy w trzeciem pokoleniu dochodzi czasem do naczelnych stanowisk. Jako przykład takiego pochodzenia można wymieni z całą pewnością podkanclerzego Kazimierza W. Janka z Czarnkowa, a z dużym prawdopodobieństwem i perłę kultury polskiej tego okresu, Grzegorza z Sanoka.

NA POLACH BITEW

Chłop polski w tym czasie nie tylko bogaci kraj, stwarzając podstawy wzmożenia potęgi Polski, pozwalające jej na unję z Litwą i rozgromienie Krzyżaków, ale zasila świeżemi siłami miasta i polską elitę umysłową. Ponadto staje się on w większym niż poprzednio stopniu, zasadniczym czynnikiem obrony państwa. Późne średniowiecze doprowadziło do szczytu znaczenie ciężkozbrojnej jazdy, określanej zazwyczaj, jako rycerska. U nas jest ona istotnie rycerska w znaczeniu technicznem, ale nie stanowem. Znaczną część jej szeregów wypełniają u nas elementy nie rodowo-rycerskiego pochodzenia, przedewszystkiem chłopi. Chłopi nie tylko towarzyszą rycerzom-szlachcie, jako lekkozbrojni, ale ruszają także sami jako ciężkozbrojni na wyprawy. Obowiązek ten wynikający z pozycji majątkowej ciąży przedewszystkiem na sołtysach. Zależnie od warunków, stają oni w XIV i XV wieku, bądź w lżejszej, strzelczej zbroi, bądź jako kopijnicy w zbroi płatowej, w hełmie, z kopją i mieczem na ciężkim bojowym rumaku, stają na równi ze średniozamożną szlachtą. Wypełniają oni wraz z towarzyszącymi im lekkozbrojnymi kmieciami znaczną część chorągwi ziemskich, stanowiących obok chorągwi rodów rycerskich, główny kontyngent wojsk polskich tego czasu, wojsk, którym zawdzięczamy tyle świetnych sukcesów oręża polskiego. Stawało w jego szeregach to chłopskie rycerstwo, nie mówiąc już o znanych nam ze statutów Kazimierza W. rycerzach z kmieci i sołtysów kreowanych.

Niechże więc w świadomości polskiej, oprócz postaci zgiętego nad pracą pańszczyźnianą chłopa, utrwali się także obraz kmiecia, okrytego błyszczącą zbroją, w hełmie z pióropuszem, z mieczem u boku i włócznią w dłoni, ruszającego na wyprawy na Śląsku, na Ruś, pod Grunwald, obrońcy i pomnożyciela Rzeczypospolitej.

Nie chciałbym tu dawać oczywiście jednostronnego obrazu, ani zamykać oczu na występujący już pod koniec tego kresu proces pogarszania się doli chłopa, przeciw któremu napróżno podnosił głos wspomniany wyżej Jan z Ludziska, przypominając Kazimierzowi Jagiellończykowi, że "natura wszystkich ludzi równymi zrodziła".

Chcę tylko podkreślić, że chłop polski, mimo podważania jego pozycji gospodarczej i społecznej, wywalczał sobie w twardym trudzie zaszczytne miejsce w społeczeństwie polskiem, że był czynnikiem aktywnym i twórczym.

ZMIERZCH I ŚWIT

Wiek XVI przyniósł w istocie załamanie się chwiejącej się już od drugiej połowy XV wieku równowagi stanów. Najdotkliwiej odbiło się ono na chłopie. Po okresie Polski stanowej, zaczyna się trwający aż do upadku dawnej Rzeczypospolitej, okres Polski szlacheckiej. Jagiellonowie nie umieli być królami chłopków. W zamian za prawa do tronu, za realizację nie zawsze szczęśliwych planów dynastycznych, oddawali oni krok za krokiem władzę w państwie i przewagę w społeczeństwie w ręce szlachty. Uzyskawszy przewagę polityczną, wykorzystała ją szlachta przedewszystkiem do umocnienia swej pozycji społecznej i gospodarczej, głównie kosztem chłopa, w mniejszej mierze mieszczanina. Skup sołtysów, utrata samorządu i wzrost pańszczyzny pozbawiły chłopa wolności, przywiązały go do ziemi, zamknęły mu drogę do nauki, do miast, do godności duchownych. Skrępowany tymi więzami chłop przestał grać dotychczasową rolę w życiu gospodarczem, a tem bardziej kulturalnem. Pozostawała tylko jedna dziedzina, w której nie przestawał służyć czynnie interesom państwa, t.j. służba wojskowa, podatek krwi. Znika z rycerskich szeregów, ale w przetworzonej nowożytnej organizacji wojskowej jest jednym z podstawowych jej czynników. Polska nowożytna walczyła żołnierzem najemnym. Szlacheckie pospolite ruszenie grało drugo-, jeśli nie trzeciorzędną rolę. Ale i w tych zaciężnych chorągwiach husarskich, pancernych, czy lekkich, pocztowy i pachołek — a pozycja to i liczebnie i bojowo znaczna — to w przeważnej mierze chłop. Piechota zaś to chłopska broń. I to nie tylko piechota wybraniecka, ale także cała zaciężna piechota polska, a w pewnej mierze i piechota cudzoziemskiego autoramentu. Cóż dopiero mówić o zaciąganych w chwilach niebezpieczeństwa piechotach dymowych i łanowych, czy o ogromnem, dobrowolnem ruszeniu się chłopa w chwili najazdu szwedzkiego. To, że Rzeczpospolita wyszła obronną ręką z potopu szwedzkiego i z opresji tureckiej, to w znacznej mierze dzieło chłopskich rąk, walczących na dziesiątkach pól bitew.

Obok przewrotu społeczno-gospodarczego początków ery nowożytnej w Polsce, wojny szwedzkie stanowią drugi zasadniczy moment zwrotny na niekorzyść chłopa. Potop szwedzki i wojny kozackie zniszczyły Rzeczpospolitą. Zachodziło pytanie, kto zapłaci koszta tej katastrofy. Zapłaciły ją częściowo miasta, ale przedewszystkiem zapłacił ją chłop. Miasta pozostawione własnym siłom nie podniosły się już z ruiny. Na wsi natomiast szlachta wyzyskując swą przewagę w państwie, odbudowała się po klęsce, obciążając go podatkami i pańszczyzną. Nastąpiło najczarniejsze stulecie w dziejach polskiego chłopa, znaczone jednocześnie staczaniem się Rzeczypospolitej ku katastrofie. Chłop podjął obronę nie czynną wprawdzie, ale bierną, prowadzoną zresztą od początku tego okresu. Zbiegał zwłaszcza na wschód, dokąd ciągnęły go lepsze warunki gospodarcze i osobiste. Zaludnienie i zagospodarowanie ziem wschodnich, to w znacznej mierze dzieło jego rąk. Okazał on się w tej najgorszej dlań epoce elementem odbudowującym kraj z ruiny, kolonizującym bezludzie.

Wśród wielu pytań czekających na polu badań przeszłości chłopa odpowiedzi i bliższego opracowania znajduje się także kwestja wpływu chłopa na ogół kultury polskiej. Wielu wydaje się, że to pytanie jest z góry negatywnie przesądzone. Tymczasem tak bynajmniej nie jest. W pierwszym okresie dziejów dawnej Polski kultura ogniskuje się na skraju ówczesnego społeczeństwa. Jest to kultura dworsko-kościelna, którą ogół społeczeństwa chłonie, ale której nie wytwarza. W Polsce stanowej natomiast wytwórcą tych dóbr kulturalnych jest całe społeczeństwo we wszystkich swych ugrupowaniach, duchownym, rycerskim, miejskim i kmiecym. Udział chłopa jest tu bezsporny. W Polsce szlacheckiej kultura otrzymuje jednostronne piętno, ale i tutaj warto zwrócić uwagę na jeden moment. Kultura szlachecka jest, zasadniczo rzecz biorąc, tylko pewną odmianą kultury rolniczej, na którą *nolens volens* pracował chłop. Niewątpliwie żył on pod dobrym, czy złym wpływem kulturalnym szlachty, niemniej jednak przy współżyciu na jednym gruncie oddziaływać musiał i na szlachtę. Byłoby rzeczą cenną zbadać, ile w tej rolniczo-szlacheckiej kulturze jest elementów przyjętych przez szlachtę od chłopa. Może na to dalsze badania odpowiedzą.

Odpowiedzieć muszą one jeszcze na inne pytania, przedewszystkiem na jedno najważniejsze: skąd wyrosło to stale, mimo najgorszych nieraz warunków, pozytywne nastawienie się chłopa do państwa polskiego i trwające mimo wszystko cnoty żołnierskie tego chłopa? Po wieku niewoli stanął ten chłop z bronią w ręku — nie tylko przy Kościuszce, ale, co większą było jeszcze próbą, w Legjonach Dąbrowskiego. Bo niezapominajmy, że orły białe z ziemi włoskiej do polskiej niósł nie kto inny, tylko w większości chłop z zaboru austrjackiego, porzucający bez względu na skutki sztandary zaborcy i służący dalekiej, a tak o niego mało dbałej ojczyźnie z bezgraniczną ofiarnością i zapałem. Po ruinie Rzeczpospolitej, która nie potrafiła dać mu należytego miejsca, wracał do Polski pod sztandarami, na których wypisane były hasła wolności wewnętrznej i niepodległości zewnętrznej.

Pod hasłem "Jeszcze Polska nie zginęła" rozpoczynał chłop polski pochód ku nowej, odrodzonej ojczyźnie, pochód, w którym wsparty pomocną dłonią najlepszych synów Polski zdobywał sobie w znojnym trudzie, w walce politycznej, a wreszcie krwią przelaną na polach bitew, należne mu miejsce w niepodległej Polsce.

Przyjrzeliśmy się, jakby w przekroju czynnemu udziałowi chłopa w przeszłości Polski w trzech najważniejszych epokach dziejów dawnej Rzeczypospolitej. W ramach krótkiego szkicu dać można było nie tyle zwarty wywód, ile raczej przykłady nie zawsze sięgające do istoty rzeczy. Wiele pytań czeka jeszcze na odpowiedź. Jednak i to, co wiemy dziś, o udziale chłopa w przeszłości narodu i państwa, każe nam widzieć w nim wielki element siły, energji, rozwoju i niezniszczalności narodu.

W POPRZEDNIM 14 (171) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

LUDWIK BERGER

Zmartwychwstaje legenda Lawrence'a

Nawet najbliżsi obserwatorzy wypadków na Orjencie, puścili mimo oczu okoliczność narodzenia się nowej ery. Wśród wielości codziennych sensacji ,nawiedzających Persję od strony Azerbejdżanu, Irak od strony Kurdystanu, Egipt i Ligę Arabską od strony Libanu — nie spostrzeżono, że właściwie *świat arabski uległ rozbiciu na dwie różne części*, że właściwie Liga Arabska zatraciła swe podstawy organizacyjne, że odpowiednikiem idei złączenia sojuszem militarnym Transjordanii i Iranu było zbliżenie Egiptu i Saud-Arabii. Gdy dokonywało się na dworze króla Faruka w Kairze uroczyste przyjmowanie Ibn Sauda wśród najbardziej wschodniego ceremonjału, relacjonowali najbardziej wytrawni polityczni i prasowi obserwatorzy o "cementowaniu się" federacji krajów arabskich, o rozszerzeniu podstaw bloku arabskiego. Faktycznie był moment uroczystości kairskich chwilą, od której trzeba zacząć liczyć *erę wstrząsu w fundamentach słabowitej budowli, nazywanej "Ligą Arabską"*. Dziś jest już wiadomem, że przed konferencją dwóch królów w Kairze odbyła się pielgrzymka muzułmanów sowieckich do Mekki, miasta objętego granicami królestwa Ibn Sauda. W czasie tej pielgrzymki mufti muzułmanów rosyjskich przeprowadził z upoważnienia komisarjatu spraw zagranicznych rozmowy z rządem saudyjskim, rzekomo wyłącznie na temat wymiany przedstawicieli dyplomatycznych. — Faktem jest jednak, że Sowiety już wtenczas, a więc jeszcze przed porozumieniem egipsko-saudyjskiem, poczyniły realne pociągnięcia, których celem było zdobycie dla orjentacji pro-sowieckiej szczególnie dwu krajów arabskich najbardziej od zachodnich granic ZSRR odległych. Krajami tymi są: Egipt i Saud-Arabja. Oba te kraje arabskie nie zaznały dotychczas wstrząsów wewnętrznych ze strony swych klas robotniczych wzgl. swych grup mniejszości narodowościowych. Tego rodzaju wstrząsów doznają kraje arabskie sąsiadujące z Sowietami, jak: Persja, Irak, Turcja. Natomiast w Egipcie i Saud-Arabji klasy robotnicze, grupy narodowościowe i ugrupowania polityczne zajmują się zwalczaniem W. Brytanji. Saud-Arabja i Egipt są w trakcie rozbudowywania kordjalnych stosunków z państwem sowieckiem. Natomiast Egipcjanin Azam Pasza, w swym charakterze generalnego sekretarza Ligi Arabskiej nie mógł w żaden sposób uzyskać wizy wjazdowej do Moskwy. Także i sama Liga Arabska nie została potąd uhonorowana uznaniem ze strony Sowietów. Nawet więcej. Sekretarz Ligi Arabskiej Azam Pasza stał się objektem ostrych ataków radja moskiewskiego, które mniej więcej od czasu zbliżenia saudyjsko- egipskiego, nazywa sekretarza Ligi poprostu "faszystą". Równocześnie prosowieckie sfery w Libanie atakują bezkompromisowo Azam Paszę i Ligę Arabską jako instrumenty "brytyjskiej polityki imperjalistycznej". Także i odleglejsze nieco od terenów środkowo-wschodnich sfery komunistyczne, bo komuniści francuscy w dzienniku "Humanite" potępiają Azam Paszę, nazywając go jednak nietyle "faszystą", ile "trockistą", zaś ruch panarabski i jego wykładnik "Ligę Arabską", próbą reakcyjnego opanowania "kochających wolność ludów arabskich".

Nowa era w polityce krajów Orjentu polega więc na tem, że budowana w ostatnich trzech latach, a zbudowana ostatecznie w połowie 1945 roku przy dużych wysiłkach dyplomacji wielkobrytyjskiej *"Liga Arabska" której siedzibą był Egipt — zostaje obecnie zdradzona przez Egipt i Saud-Arabję.* To znaczy, że przeciw dotychczasowemu sposobowi organizowania krajów arabskich występują dwa kraje, które mogą niewątpliwie liczyć na najsilniejsze poparcie ze strony Zw. Sowieckiego.

Niewiadomo czy jest tylko rzeczą przypadku, że wśród orjentalnych dyplomatów brytyjskich, którzy mogą słusznie uchodzić za budowniczych Ligi Arabskiej, nastąpiły ostatnio zasadnicze zmiany. Placówkę w Teheranie opuścił Sir Reader Bullard, placówkę kairską Lord Killearn. Równocześnie przystąpiła dyplomacja brytyjska niejako *do odnawiania ostatnio zaniedbanych tradycji pułkownika Lawrence'a.* Lawrence przed ćwierćwieczem planował stworzenie wielkiego królestwa arabskiego pod władzą dynastji Haszemitów, wywodzących się od Husseina, szeryfa Mekki. Mekka, jak zresztą i cały Hedżas, w którym panowali przed tamtą wojną Haszemici, jest obecnie we władaniu Ibn Sauda. Stąd zasadnicza sprzeczność interesów politycznych pomiędzy Saud-Arabją a Irakiem i Transjordanją, w których to ostatnich krajach panują potomkowie Huseina, czyli Haszemici. Ostatnia inicjatywa brytyjska, mająca na celu zaawansowanie emira Transjordanji Abdalana na króla transjordańskiego, jak również taka sama inicjatywa zdążająca do bliskiego sojuszu wojskowego pomiędzy Transjordanją i Irakiem i wreszcie do utworzenia królestwa "Wielkiej Syrji" pod Haszemitami — to nie co innego jak nawrót do tradycji polityki arabskiej pułk. Lawrence'a.

Tak więc, polityka sowiecka na Środkowym Wschodzie doprowadziła przez wstrząsy w organizacji "Ligi Arabskiej" i przez zaktualizowanie danych sporów dynastycznych do odżycia legendy "Lawrence'a Arabskiego", cofnęła stan rzeczy w krajach Islamu o pełnych dwadzieścia lat wstecz.

WOJCIECH BĄK

ZEMSTA

Zemsta może być słodka — jak świat dotąd światem,
Poeta się z ministrem gryźli ironicznie.
Głupiec - poeta — walczył tylko poematem,
A minister nie lubił walczyć poetycznie.

Nierówna broń! Nie trudno zgadnąć, kto z nich zginie —
Nazbyt dobrze nam znane z historii te "fakta" —
Lecz poeta się zemścił, śpiew przez wieki płynie,
A w pogardzie butwieją ministerskie akta.

Nauka stąd, ministrze! Nie zwalczaj poety,
Choć broń jego jest słaba i jak powiew wiotka...
— On zginie — ale nie ty zwyciężysz niestety,
Lecz zemsta jego śpiewna, zemsta jego słodka!

(Drukowane w "Szpilkach" w Łodzi)

JÓZEF RELIDZYŃSKI

MELANCHOLIJNY SPACER

*Myślałem, że gdy będzie kres dni mych się zbliżał
Zaciągnę się głęboko powietrzem Warszawy,
Jak dymem papierosa... i Placem Trzech Krzyży
Na mój ostatni spacer wybiorę się żwawo.*

*Najprzód pójdę w Aleje, że to właśnie wiosna,
Więc w Parku Ujazdowskim bzy już będą kwitły.
Błysną mi we wspomnieniu, podobne
pierwiosnkom,
Oczy ujrzane kiedyś, zgasłe w mgle błękitnej.*

*Zejdę wdół do Łazienek. Spojrzeniem przeciągłym
Ogarnę biały pałac i białe łabędzie,
I posągi na wyspie, z którymi się sprzęgły
Dni marzeń, kiedym z drzewem każdem gawędził.*

*Konny tramwaj zdaleka, zdaleka zadzwoni...
Musną mnie cienie nikłe z Nocy Listopada —
Stanę pod Belwederem i pomyślę o Nim,
Co dał mojej młodości w dłoń rycerską szpadę.*

*A wracać będę Nowym Światem i Krakowskiem
Jak dawniej — dandys młody —
z żądnem przygód sercem,
Wolnym krokiem, z laseczką w ręku i beztroski,
Gwiżdżąc jakąś piosenkę, z kwiatem w butonierce.*

*Skręcę na most Kierbedzia i z Pragi raz jeszcze
Oglądnę panoramę lubą, zawsze świeżą;
Linją łamaną dachów starych wzrok napieszczę
Od tarasów zamkowych po Katedry wieżę.*

*Rzucę okiem na Wisłę — wdal, gdzie może echa
Włóczą się dawnych włóczęg uczniowskiej czeredy.
Dziś już darem swobodna przestrzeń się uśmiecha
Trza wracać — nie ma czasu, jak się miało wtedy.*

*Pod kolumną Zygmunta na chwilę przystanę —
Osmęci mnie gruchanie gołębi wesołe...
Słońce różem powlecze okna wciąż te same,
Co spoglądały na mnie, gdym kroczył do szkoły.*

*Niema z niej ani śladu. A i Stare Miasto —
To miasto Gomulickich i miasto Or-Otów,
W którego cieniu z dziecka-m
w młodzieńca wyrastał.
Gdzie, z opaską na oczach, wszędziem trafić gotów.*

*To miasto, pełne dziwnych, omszałych postaci, —
Zmieniło się, zszarzało, chociaż barw nabiera...
Trudno! Wszystko się zmieni,
w poezję przekształci,
Niezmiennym punktem tutaj winiarnia Fukiera.*

*Będący sam poezją ów "Dom pod Okrętem",
Bachusowa siedziba zacna! Ileż różnych
Chwil w różnych fazach życia mego on pamięta!..
Wypiję "strzemiennego" — samotny podróżny...*

*Z fantazją uskrzydloną i z wigorem w kościach
Ruszę na Plac Teatralny. Tam "pod Filarami"
Otoczą mnie figury z dawnych Rozmaitości —
Tłum wspomnień, których magja dotąd w duszy
gra mi.*

*Przysłucham się sejmowi wróbli tuż na skwerku,
Z melancholją popatrzę na wieżę Ratusza;
Pomyślę: ileż razy takem ku niej zerkał,
Zawsze pragnąc wejść na nią
i nigdy nie wszedłszy.*

*Jedno z licznych życiowych niedokonań... Dzisiaj
Za późno już — dech w piersi pewnie by
nie starczył;
Niedarmo ciężki łańcuch lat u szyi wisi,
I już Cerber trójgłowy na mnie ścicha warczy...*

*Więc posmutnieję nagle... Jakem wyszedł hucznie
Na ten spacer, tak wracam ze zwieszoną głową
I — jak rycerz po klęsce — ze złamaną włócznią.
Krwią serca czy zachodniej zorzy purpurową...*

*Sił braknie — a i wieczór mży już rosą gwiezdną.
Nie obejdę już wszystkich kątów, sercu miłych,
Nie zajrzę w znane okna, które mokrą jezdnię
Świetlistą strugą obcych dziś wnętrz rozelśniły...*

*Po drodze jeszcze Ogród Saski. ...U fontanny
Zatrzymam się, by nieco zaczerpnąć tchu w płuca;
Stwierdzę, że znów tak samo kwitną tulipany,
Jak wtedy, gdym tu, psotny chłopiec, piłkę rzucał.*

*Aleją Literacką podążę do wyjścia —
Jakżebym bo o panu Prusie dziś zapomniał!?
Pomyślę, że kasztanów tak szumiały liście
Przede mną i tak samo będą szumieć po mnie...*

*Wyjdę na Marszałkowską. Oślepią mnie zaraz
Krwawych neonów żmije, co się zewsząd czają
Z okien i syczą z dachów — i ogłuszy hałas
Splątanych ludzi, koni i aut i tramwajów.*

*Tłum porwie mnie, poniesie.
A wtem... ktoś się otrze...
Błyśnie przelotnie w ciżbie uśmiech zapomniany...
Ktoś wyszepce me imię — ktoś, co dawno odszedł...
Frunie gwiazdka, jak świetlik w noc świętego Jana.*

*Tak dziwnie... Przygasają neony... Mózg szumi...
Zapadam się, jak gdyby w przepaścistej windzie
Chmur drapacza... I nagle zgubię się w tym tłumie
A kiedy się odnajdę... to chyba gdzieindziej.*

*Tak marzył mi się kiedyś spacer po Warszawie
Ostatni, by na przełaj lat kilku dziesiątek —
Melancholijny trochę, potrosze zabawny,
Jak filmu, puszczonego gdzieś od końca, wątek.*

A dzisiaj, kiedym chciał to naprawdę uczynić, —
Szedłbym po śladach ulic w owym mieście
świętem,
Jak po czarnych kamieniach irackiej pustyni,
Jako po Jeruzalem Jeremiasz z lamentem.

Bo stała się rzecz dziwna, co — zda się przerasta
Wybraźnię poety, sztukę czarownika,
Człowiek przeżył sam siebie—przeżył swoje miasto,
Przeżył swój dom i grób swój, drzewa i pomniki.

Więc przeżył lat dziesiątki i przeżył lat setki...
I cóż mu — nieszczęsnemu — pozostało teraz,
Kiedy ciężar jednego życia zda się lekki,
Jak nie wiecznie się tułać, niby Ahasverus?

I oto — żołnierz-tułacz, Polak bez ojczyzny,
Ja — syn nieszczęśliwego narodu w wielkości
I wielkiego w nieszczęściu; ja —
któż mi nie przyzna?
Bez metra choćby ziemi swej, by złożyć kości;

Oszalały poeta i Don Kichot błędny, —
Krążę po obcych miastach i pośród gwar obcych,
Aż litościwe Parki nić moją wyprzędną
I spocznę gdzieś pod obcej ziemi ciężkim kopcem.

Spoglądam w oświetlone okna parterowe,
Gdzie do stołu jasnego rodzina zasiada;
Gdy ujrzę zakochanych, w cieniu drzew
się chowam,
Ssąc krew cudzego życia, niby wampir blady...

Uciekam sam przed sobą i uciec nie mogę...
Niby Harpie mnie ściga, kołem młyńskim huczy
W głowie natrętny charkot radia...
W chmur pożogę
Lecą kędyś na północ dzikich ptaków klucze.

O jakżebym polecieć chciał tam razem z nimi!
Daremnie. Nie polecę.. W złym i mrocznym
wichrze
Jęk słychać, jakby echo mordowanej ziemi...
Gdybyż łza ukojenia spłynęła najcichsza!...

Daremnie. Już nie spłynie... I daremnie pięści
Zaciskam i coś wołam... Głos mój tonie w morzu,
Którego kroplą jestem... Gdzieś złowrogo chrzęści,
Niby stalowy kułak, bombowiec w przestworzach...



Bellotto Canaletto: Ulica Miodowa w Warszawie (XVIII wiek)

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

W związku z przymusowem przyłączeniem kościoła unickiego do cerkwi prawosławnej przez Sowiety drukujemy fragment arcydzieła reymontowego "Z ziemi chełmskiej", opisującego podobne praktyki moskiewskie za czasów carskich.

Dla pełności obrazu opowiem jeszcze, chociaż tylko w streszczeniu, dzieje unickiej wioski Hrud, położonej niedaleko Białej podlaskiej, na drodze do Janowa.

Hrudy najwcześniej na Podlasiu, bo jeszcze w roku 1867, wzięły pierwsze cięgi za uparte trwanie przy unii. Było to wtedy, kiedy "Misja Bialska" jeszcze prywatnie, jakby tylko z apostolskiej gorliwości, próbowała oczyszczać cerkiew unicką z polskich i łacińskich naleciałości. Nieszczęściem dla Hrud było to, że leżały za blisko owej "Misji", musiały się więc stać jakby polem doświadczalnym dla siewców "czystej i jedynej prawdy". Ale grunt okazał się dziwnie jałowy i, pomimo bardzo obfitego umierzwiania krwią, nie wydał oczekiwanych plonów. A nawet przeciwnie, gdyż stał się źródłem zaraźliwej gorączki "uporstwa", jaka wkrótce ogarnęła całą Chełmszczyznę.

Zaczęło się, jak odtąd miało się już zaczynać na Unii, od wyrzucania z cerkwi polskich śpiewów, kazań, organów, świętych obrazów i dzwonów.

Ale lud natychmiast przywrócił cerkiew do dawnego stanu i śpiewał dalej po polsku, bo tylko polskie kościelne pieśni umiał, modlił się przed obrazami, słuchał ze wzruszeniem organowych głosów i polskich kazań, bo tak było za jego dziadów i pradziadów, bo tylko takie nabożeństwo rozumieli; albowiem te śpiewy, kazania, obrazy, procesje wśród bicia dzwonów, kadzielnych dymów i brzmiących organów były i są jakby organiczną częścią jego wierzeń religijnych, jego wzruszeń serdecznych i jego umiłowań.

Nie obroniło to ich od nowego zamachu na cerkiew, gdyż w lipcu tegoż roku próbowano narzucić im nowego, posłusznego proboszcza.

Przywiózł go sam Marceli Popiel, prawie już biskup chełmski, w towarzystwie błogoczynnego Kalinowskiego i sporego orszaku kozaków, dla uświetnienia uroczystości.

Ale lud otoczył cerkiew nieprzebytym wałem i nie wpuścił do niej nikogo.

Nie pomogły długie i żarliwe namowy; lud nie dał się przekonać i nie ustąpił.

Popiel odjechał rozgniewany i groził strasznymi karami za nieposłuszeństwo.

Chłopi czuli co ich czeka i z determinacją pochylali głowy przed Dolą.

Jakoż w końcu września zjawiła się we wsi sotnia kozaków a za nimi przymaszerowała rota piechoty i rozkwaterowała się po chałupach.

Całe dwa miesiące zabawiali się na koszt Hrud.

I przez całe dwa miesiące wszyscy, którzy posiadali konie, musieli jeździć na podwody po całym powiecie, a reszta mieszkańców była pędzona od świtu do nocy na drogi, do zgarniania kamieni i błota, kopania niepotrzebnych rowów i wysypywania żółtym piaskiem głównego gościnca.

A tymczasem pola leżały odłogiem, nie było czasu ni orać, ni siać, ni nawet wykopać ziemniaków, które gniły, gdyż jesień była wielce mokra, wieś niszczała coraz bardziej, inwentarze dawały szyje pod nóż sołdacki, stodoły spustoszały, bo kozacy paśli swoje konie tylko czystem zbożem płoty szły na ogień, a skoro ich zbrakło, to i drzwi z chałup i pomniejsze budynki, i nawet drzewa ze sadów.

I na zakończenie Hrudy zapłaciły jeszcze kontrybucję, kilku gospodarzy poszło na parę miesięcy do więzienia, a dawnego proboszcza, księdza Terlikiewicza, wywieziono.

Wreszcie wieś odetchnęła, goście odeszli, parę lat przeszło spokojnie, a tylko w ciężkiej pracy dorabiano się, jakby po strasznym ogniu.

Cerkwi jednak wciąż strzegli, jak oka w głowie, straże czuwały dzień i noc.

W roku 1871, w sam dzień "Zwiastowania", zjawił się najniespodzianiej nowy, "ukazowy" proboszcz, niejaki Starościelec, w towarzystwie błogoczynnego Kalinowskiego, i gwałtem chcieli zawładnąć cerkwią, lecz chłopi znowu ją otoczyli lasem roztrzęsionych pięści i groźnie krzyczeli:

— Jeżeli nie wróci ksiądz Terlikiewicz, to innego nie potrzebujemy.

Wobec ich zdecydowanej postawy Starosielec wyniósł się bardzo pośpiesznie.

Ale nazajutrz powrócił w licznej asyście strażników.

I porę wybrali sobie najodpowiedniejszą, bo po południu, kiedy wszyscy ludzie byli przy żniwach daleko za chałupami, a we wsi zostały tylko dzieci i starce, drzemiące po sadach. Na szczęście ten, który stróżował przy cerkwi, zobaczył całą kawalkadę, wyjeżdżającą z lasów i poczuwszy niebezpieczeństwo, zaczął dzwonić na trwogę.

Na polach podniósł się straszny wrzask i lament; kto tylko żył, chwytał, co mu tylko wpadło w garście, i leciał na obronę.

Tamci zaś, zrozumiawszy, że ich spostrzeżono, pędzili do wsi, co tylko konie miały tchu, prędzej dopadli kościelnego cmentarza i zaczęli łamać wrótnie, ale nie zdążyli jeszcze dostać się do środka, gdy chłopi runęli na nich z ogromnym krzykiem i rozmietli, że uciekali chyłkiem, opłotkami, jak spłoszone jastrzębie.

Starosielec nie dał jednak za wygraną i w parę dni później znowu powrócił, ale już w otoczeniu całych dwóch sotni...

Wchodzili do Hrud triumfalnie, z muzyką i śpiewami, od których chłopom cierpła skóra i, chociaż się żegnali rozdygotanymi rękami, stanęli jednak nieulękle w obronie swojej cerkwi, tylko że opór trwał już bardzo krótko: szarża, piki, naboje, końskie kopyta wnet utorowały drogę "narzutowi", który też ostatecznie objął parafię w swoje posiadanie, a wojsko rozłożyło się, starym zwyczajem, po chałupach i odpoczywało przez całe osiem tygodni.

A kiedy wreszcie odeszli, to w Hrudach nie zostało ani jednych całych pleców, ani jednej szyby, płota i drzwi a w każdej chałupie był szpital i sieroty, gdyż pięciu gospodarzy wraz z rodzinami popędzono w ślady księdza Terlikiewicza.

Nastąpiło parę lat przerwy; pogoiły się plecy, wyrównały się szczerby w dobytku, obeschły nawet łzy, nie zginęła tylko pamięć o wywiezionych, ich puste, pozabijane deskami chaty i pola, leżące odłogiem, których się nikt nie ważył tknąć, leżały wciąż na oczach, i były niby krzyk wiecznie pamiętnej krzywdy!...

Nadszedł 1874 rok, pamiętny na zawsze, rok zniesienia Unji.

Naturalnie, że nie zapomniano i o Hrudach. Nawracano je przez cały tydzień, i przez cały tydzień brzmiały apostolskie napomnienia, przeplatane świstem nahajek i jękami.

Siew był żarliwy, żniwo znojne, omłot pracowity, ale plon niezmiernie lichy.

Hrudy nie dały się nawrócić z odwiecznych błędów i pozostały zatwar-

działe "uporstwujuszczymi", ale zapisano je do panującego kościoła i pozostawiono pod opieką praw specjalnych i strażników.

Życie toczyło się zwykłą koleją, puste chałupy wciąż czekały na swoich gospodarzy, sieroty na ojców, a pokrzywdzeni na sprawiedliwość; siano jednak, orano i sprzątano, jak zwykle, tylko że wieś stała się podobna do cmentarza, nikt już nie zaśpiewał, nie tańczył i nie weselił się, zapomnieli się nawet śmiać; ludzie przesuwali się jak cienie, bladzi, wynędzniali, śmiertelnie smutni i przeżarci nędzą i cierpieniami, a zawsze gotowi na nowe cierpienia i nowe ofiary dla sprawy.

Z cerkwią i plebanją przerwały się wszelkie stosunki, odwrócili się od nich na zawsze, bo tam już panował obcy język, obca wiara i ludzie obcy; niczyja noga już nie postała nawet na przycerkiewnym cmentarzu.

Modlili się po domach skrycie, albo po lasach, gdzie zbierano się na uroczyste nabożeństwa, dzieci chrzczono tylko z wody, tymczasowo, zmarłych grzebano pokryjomu, nocami, starannie równając mogiły z ziemią, żeby ich strażnik nie dostrzegł i nie nakazał pochować nieboszczyka po raz drugi, a według nienawistnego im obrządku; małżeństw nie zawierali dla tych samych powodów, ślubów t. zw. "krakowskich" jeszcze wtedy nie było. Narzuconej im cerkwi nie chcieli, a do kościoła nie było wolno, czekali więc ufnie i cierpliwie na odmianę strasznego losu, znosząc tymczasem tysiączne przykrości od władz.

Żyli pod ciągłym strachem i groźbą, zdani na łaskę i niełaskę strażników, żyli, jakby wyłączeni ze społeczności, niby stado dzikich zwierząt, odgrodzone od świata i ludzkiego życia nieprzebytym gąszczem praw, zakazów, sztrafów i więzień.

A pomocy nie było znikąd. Przed "opornym" zamykały się wszystkie drzwi, uciekano przed nimi, jak przed zadżumionymi, wypędzono ich nawet z kościołów, strach szedł przed nimi, a czujne oczy za nimi. Ale chociaż rany bolały ich podwójnie, chociaż jadła ich nędza, sztrafy odbierały ostatni kęs chleba, prześladowania gnębiły, chociaż odstąpili ich ludzie, — walczyli jednak dalej w ponurym osamotnieniu, walczyli do ostatniego tchnienia o prawdę umiłowaną, dla której już znieśli wszystko i wszystko jeszcze byli gotowi przecierpieć.

Tak przeszło do 1876 roku, w którym na Hrudy zwaliło się nowe, chociaż już oddawna groźnie wiszące nieszczęście. Pewnego bowiem dnia przy końcu marca przyszedł surowy rozkaz, aby natychmiast sprowadzono do cerkwi wszystkie dzieci, dotąd jeszcze nie chrzczone.

Jakby piorun trzasnął z jasnego nieba; wieś zawrzała, krzyk trwogi podniósł się po chałupach, płacz i lamenty zakwiliły żałośnie, ludzie biegali, jak oszaleli, nie wiedziano, co począć, załamywano bezradnie ręce, jeszcze bowiem na wsi pełno było śladów "dawnego", jeszcze niektórzy mieli nie zagojone rany, jeszcze domy po wysłanych stały pustkami..

"Co robić? Co robić?" — trzepotały się trwożliwie, załzawione szepty.

Nikt nie umiał odpowiedzieć, ale też nikomu ani postało w głowie, żeby usłuchać rozkazów. Tyle lat się opierali, tyle kar zapłacili, tyle się nacierpieli, a teraz mieli by się zgodzić dobrowolnie, mieli by oddać dzieci na wieczną zatratę?...

Włosy powstawały ze zgrozy zaciskały się pięście, jęk rozdzierał zgnębione serca, lecz równocześnie rodził się w tych bohaterskich duszach niezłomny opór, podnosiły się dumnie czoła, i oczy zaczynały nieulękle patrzeć na zbliżającą się znowu niedolę...

I bez wrzasków, bez długich namyślań porozumieli się prawie w mgnieniu oka, i wszyscy już poczuli to jedno: że dzieci w cerkwi ochrzcić nie pozwolą, chociażby im za to przyszło zapłacić życiem...

A zaledwie się porozchodzili po domach, gdy na kilku wozach przyjechali strażnicy z wójtem na czele, aby dopilnować spełnienia rozkazów.

Cerkiew już czekała otwarta, więc wójt wraz z całą swoją kohortą chodził po wsi, wyczytując z listy, ile dzieci powinni wyprowadzić z każdej chałupy.

Cała wieś wyległa przed domy, chłopi drapali się frasobliwie po głowach i słuchali w milczeniu, kobiety stały po progach z dziećmi na rękach i również się nie odzywały, były tylko dziwnie blade, zgorączkowane i patrzały, jak rozjuszone wilczyce, ale po przejściu wójta, i gdy chłopi pociągnęli za nim, zniknęły gdzieś bez śladu, a chałupy zawierały się śpiesznie, cicho i jedna po drugiej...

Wójt naraz obejrzał się, i ujrzawszy samych mężczyzn zawołał:

— A gdzież baby? Gdzie dzieci?...

Ponure ciężkie spojrzenia posypały się na niego jakby kamiennym gradem.

Nie pytał już więcej, a tylko zaczął kopać w pierwsze lepsze drzwi a ryczeć:

— Wychodzić! Wychodzić, bo za włosy wszystkie was powyciągam!

Tylko pieski zaszczekały mu w odpowiedzi, ale ani jedna głowa się nie ukazała; domy stały jakby wymarłe i opuszczone, a wszystkie okna i drzwi były pozamykane od środka.

Krzyknął na chłopów, żeby otwierali; nikt się nawet nie poruszył, a tylko któryś wyrzekł posępnie:

— Niech je pan wójt sam sobie otwiera!

Rzucił się z wściekłością na jakieś okno i odskoczył ze skowytem, jak pies od jeża, bo dostał ukropem w twarz, więc, ledwie dysząc z gniewu, rozkazał brać domy szturmem, jak fortecę.

Niełatwo to jednak poszło, gdyż okna i drzwi były zatarasowane od wnętrza skrzyniami, szafami i czym się tylko dało, a kto się bliżej podsunął, brał kijem, wrzątkiem lub pięścią.

Chłopi stali na środku drogi, przypatrując się wszystkiemu z wielką cierpliwością...

Chałupy aż się trzęsły od wrzasków, kiebiety walczyły, jak lwice, odpierając szturm za szturmem: co chwila rozlegały się ryki bólu, przekleństwa, straszliwe placze dzieci, trzask pękających desek, brzęk tłuczonych szyb, szczekanie psów i huki belek, którymi wybijano drzwi, niby taranami, że rozlatywały się w drzazgi.

A kiedy wreszcie przełamano pierwsze przeszkody, wdarto się do niskich ciemnych sieni, zawrzała ręczna walka, i wybuchały dzikie wrzaski, broniły się bowiem coraz zajadlej i coraz rozpaczliwiej.

W końcu zdobyto parę chałup, ale wszystkie kobiety momentalnie pochowały się wraz z dziećmi w kominy i piece od chleba, że musiano zdobywać każdą z osobna.

Broniły się już zębami i pazurami, gryzły i drapały, a oszalałe rozpaczą, pijane walką, podarte, jak łachmany okrwawione, zbite, całe w ranach i sińcach, walczyły wciąż z jednakim męstwem, niby wilczyce, opadnięte przez rozjuszone ogary.

Lali je wodą, rzucali w kominy zapaloną słomę, żeby je wykurzyć dymem, jak lisów, próbowano wyciągać nawet bosakami, ale nic nie pomogło.

Przetrzymały wszystko!

Musieli je odstąpić, gdyż noc się już robiła, i chłopi przybierali coraz groźniejszą postawę. Wójt zagroził wsi strasznymi karami za opór i odjechał z całym towarzystwem.

Cerkiew zamknięto, wszystko wróciło do dawnego i na razie zapanował spokój.

Nie na długo jednak, bo już w początkach kwietnia, któregoś dnia na samym świtaniu, zahuczał nagle dzwon na trwogę, i rozniosły się złowrogie krzyki:

— Wojsko idzie! Ratuj dzieci, kto może!

Przy kołowrocie już zabrzmiały warkoty bębnów, szczęki broni i ciężkie, marszowe tupoty.

Taki huragan przerażenia zwalił

się na ludzi, jakby pożar ogarnął całą wieś; i nie było już żadnego ratunku, wypadali z chałup nieprzytomni, a chociaż strach porywał za włosy i trwoga wyła w sercach, stali w jakiemś nagłem skamienieniu i patrzyli ślepemi oczami na długą kolumnę wojska.

Śmiertelna cisza opada, nikt nie śmiał się poruszyć, byli jakby sparaliżowani, ale, kiedy zdawało się, że już wszystko przepadło, serca matek przemówiły: pozbierały dzieci, ogarnęły je naprędce i, jak która stała, boso i w koszulach, zaczęły się niespostrzeżenie wymykać do sadów, potem chyłkiem za stodoły, potem w pola i przepadły w szarudze i w skołtunionych świtowych mgłach.

Wojsko zajęło wieś, i wyszedł rozkaz, aby wszystkie kobiety z dziećmi zebrały się pod cerkwią. Naturalnie nie zjawiła się ani jedna; były już w bezpiecznem schronieniu.

— Ale gdzie się podziały? — pytano groźnie, przetrząsając dom po domu.

Chłopi milczeli, niepodobna było wydobyć ani słowa.

— To poczekamy, aż powrócą! — powiedział dowódca, i wojsko rozłożyło się po chałupach.

Dopiero po śladach zrozumiano, gdzie się schroniły; otoczyli więc las patrolami, przecięto komunikacje ze wsią i srogo pilnowano, żeby nikt nie wynosił im żywności.

Byli pewni, że rychło je przypędzi głód i zimno.

— Kwoczki podmiękną i wrócą na grzędy! — podkpiwali żołnierze.

Ale przeszedł dzień, dwa, trzy — nie powróciły.

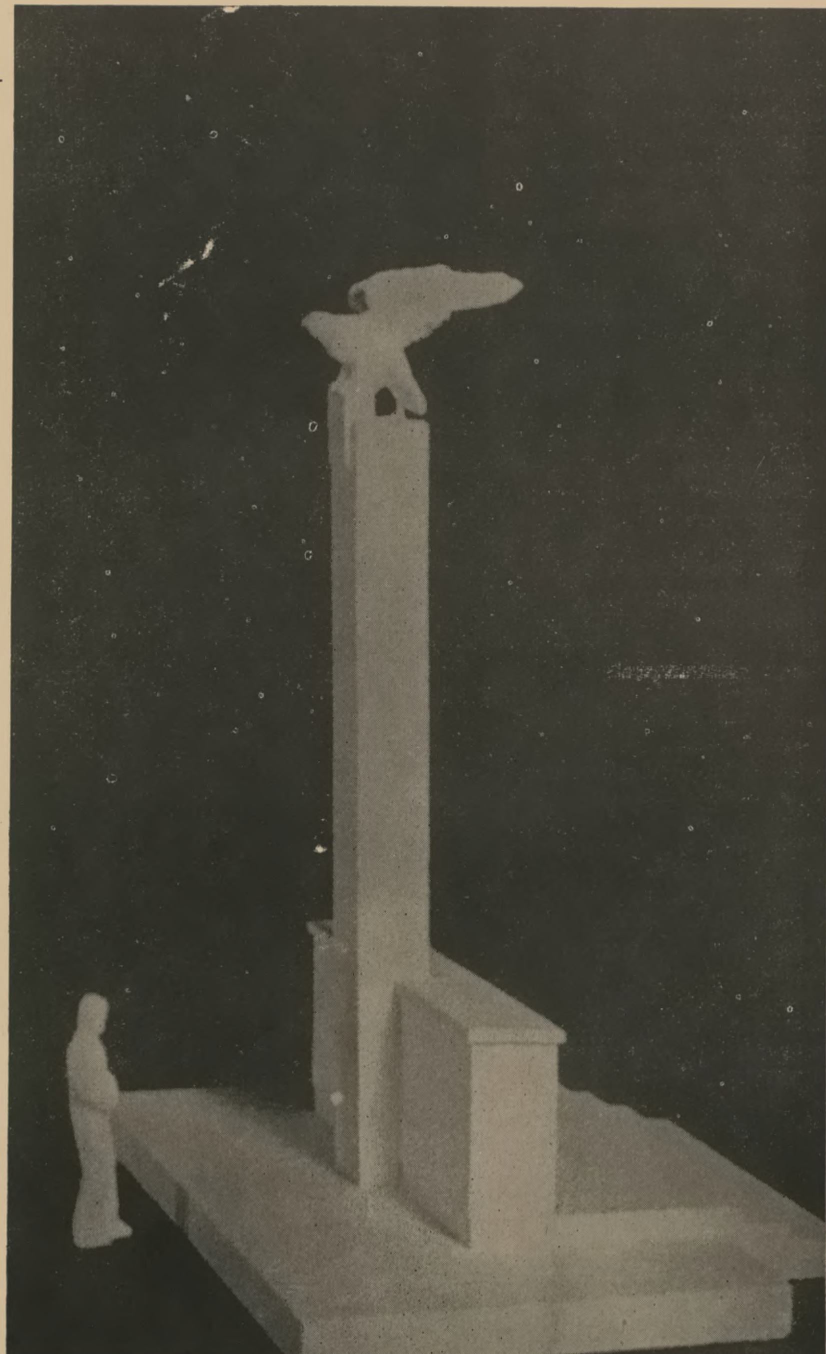
A wieś szarpała się w strasznej trwodze i niepokojach, robota leciała z rąk, poruszali się nieprzytomnie, boć wszystkie oczy wciąż wisiały na chmurze borów, boć wszystkie dusze rozdzierała rozpacz bezsilności, więc tylko płakano z wściekłości, modlono się żarliwie i czekano jakiegoś cudu.

Przeszedł cały tydzień, i nie powróciła ani jedna.

Bór stał czarny, ogromny, niezgłębiony, a pod jego wyniosłymi ścianami błyskały gęsto najeżone bagnety.

Wiosna tego roku była dziwnie mokra, zimna i wietrzna; codzień szły nieskończone szarugi, codzień wichry z dzikim, rozżartym skowytem spadały na wieś, przelewały się po polach i biły w bory, które szamotały się tak rozpaczliwie i wyły tak przejmująco, że ludziom się wydawało, jako słyszą w tych jękliwych poświstach bolesne zawodzenia kobiet, płacze dzieci, a nawet mrożące krew wołania konających.

A niekiedy, gdy przychodziły spokojne noce i księżycowa poświata zalewała omglone pola i las przelśniony,



Projekt pomnika ku czci lotników polskich, który stanie w Northolt pod Londynem, dzieło artysty rzeźbiarza Mieczysława Lubelskiego.

cichy i zadumany, to niejeden byłby przysięgał, że widzi między pniami białe widma, które wyciągały błagalnie ręce i coś krzyczą, i czegoś się skarżą, i czemuś się żalą...

Przeszedł drugi tydzień, nie powróciły!

Dnie już szły niewypowiedzianie przykre, wlokły się nudnie i ociężale, sączyły się, jakby palące żałością łzy. Pora była robót wiosennych, pola krzyczały o pługi, o ziarno, ale miał to kto głowę do roboty, kiedy troska wypijała każdą myśl i moc wszelką! Nawet sen nie przynosił ukojenia, bo noce schodziły na rozgorączkowanem oczekiwaniu, bo, co tylko wiatr tknął okien, to się już zdawało każdemu, że ktoś pod ścianami przemyka, że ktoś puka, że ktoś nadchodzi.

Przeszedł trzeci tydzień, nie powróciły.

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Konflikt irański rozwiązany został przez Radę Bezpieczeństwa UN w sposób charakterystyczny dla wszystkich dotychczasowych rozstrzygnięć i posunięć tej instancji międzynarodowej, mianowicie: słabo sklejonym kompromisem, który usłużna prasa stara się przedstawić jako sukces samej UN i dyplomatycznej zręczności P. Byrnesa. W istocie rzeczy przecież, rozstrzygnięcie kwestji irańskiej przez Radę Bezpieczeństwa, która zaakceptowała wszystkie sugestje głównego delegata Stanów Zjednoczonych, jest efektem przysłowiowej bojaźni przed własną odwagą, jest cofnięciem się na całej linji.

W ciągu czterech dni, delegacje wchodzące w skład Rady Bezpieczeństwa z największym i nie dającym się ukryć niepokojem nadstawiały ucho w kierunku Moskwy, nadsłuchując czy goniec sowiecki przynosi odpowiedź na wystosowane do rządu sowieckiego zapytania. Zaniepokojenie było tem większe, że delegat sowiecki Gromyko — działając w myśl instrukcji swego rządu — bojkotował nieugięcie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa, dając do zrozumienia, że przed wyznaczonym przez Moskwę terminem, tj. przed . 10 kwietnia, w rozważaniu kwestji zatargu sowiecko-irańskiego udziału nie weźmie. W kołach UN panowała niepewność i obawy czy aby przedłużająca się abstynencja Gromyki nie przerodzi się w całkowite zlekceważenie UNO przez Związek Sowiecki, to jest: czy Rosja Sowiecka nie usunie się zupełnie z tej organizacji międzynarodowej, przekonawszy się, że w pewnych momentach UN stać się może kłodą, utrudniającą Moskwie posuwanie się w kierunku jej celów ekspansyjnych.

Z największą też ulgą Rada Bezpieczeństwa dowiedziała się, że rząd sowiecki raczył nadesłać odpowiedź na wystosowane do Moskwy zapytania. Odpowiedź ta jest dowodem przebiegłości dyplomatów sowieckich. Stwierdza bowiem, że wojska sowieckie ewakuują Iran i, w ciągu sześciu tygodni, wycofają się z tego kraju; stwierdza odpowiedź ta, że ewakuacja wojsk sowieckich jest skutkiem porozumienia sowiecko-irańskiego, o którem to porozumieniu rząd Iranu jeszcze raz twierdzi, że żadne porozumienie nie istnieje. Stwierdza wreszcie Moskwa, że sprawa ewakuacji wojsk sowieckich nie jest związana z żadnemi rokowaniami irańsko-sowieckiemi, co P. Byrnes rozumie, że ewakuacja jest bezwarunkowa. Z drugiej strony, delegat Iranu, niewiadomo czy działając w myśl instrukcji swego rządu, czy też dając więcej posłuchu radom washingtońskim, oświadczył, że o ile Rosja dotrzyma przyrzeczenia i do d. 6 maja r. b. wycofa swoje wojska z Iranu, nie będzie się sprzeciwiać, odłożeniu do tego czasu kwestji zatargu irańsko-sowieckiego. Na tem też zbudowana została uchwała Rady Bezpieczeństwa, przyjmująca do wiadomości, jako wyraźne — podczas kiedy są właśnie mętne — stwierdzenia odpowiedzi sowieckiej i odkładająca całą sprawę do ewentualnego dalszego rozważania do d. 6 maja r. b.

W kilkanaście godzin, po powzięciu przez Radę Bezpieczeństwa uchwały kompromisowej w sprawie zatargu irańsko- sowieckiego, Moskwa i Teheran ogłosiły oświadczenia o zawarciu układu, jak twierdzi Moskwa, porozumienia, jak znowu twierdzi Teheran, w sprawie nafty w północnych dzielnicach Iranu. Ażeby ominąć polityczne i konstytucyjno-prawnie niebezpieczną kwestję koncesji naftowych, teraz zawarte porozumienie czy układ irańsko-sowiecki przewiduje utworzenie spółki do wspólnej eksploatacji nafty irańskiej. Według dawniejszych pogłosek, Rosja żądała dla siebie 51 procent udziałów, pozostawiając przy Iranie 49 procent. Jak jest pod tym względem skonstruowany układ czy porozumienie teraz zawarte — niewiadomo, jak również dokładnie niewiadomo, czy Iran musiał się zgodzić na inne, ważniejsze niż nafta, warunki sowieckie, mianowicie: na dopuszczenie Rosji Sowieckiej do portów Zatoki Perskiej oraz na uznanie tak szerokiej autonomji Ażerbajdżanu, aby w ramach tej autonomji zmieścić się mogła sowiecka baza militarna, z boku zagrażająca Turcji. Nie może ulegać wątpliwości, że podczas kiedy w sprawie zatargu irańsko-sowieckiego, Rada Bezpieczeństwa UN zadowolić się musiała powrotem Gromyki na posiedzenia, Rosja Sowiecka osiągnęła niewątpliwie sukcesy dyplomatyczne, zyskując niemało ważne przywileje gospodarcze w Iranie oraz, prawdopodobnie, jeszcze w skutkach swych ważniejsze korzyści polityczne i militarne. Inaczej się stać niemogło. UN może działać uchwałami, deklaracjami, podczas kiedy Moskwa w Iranie działała pieszo maszerującemi i zmotoryzowanemi kolumnami wojskowemi. Z chwilą, kiedy w Londynie Rada Bezpieczeństwa, chcąc wydostać się z impasu, zgodziła się, aby Iran prowadził rokowania ze Związkiem Sowieckim, innego wyniku nie należało się spodziewać. Sowiecki niedźwiedź dyktował i groził perskiemu królikowi i protokół takich "rokowań" był pisany łapą niedźwiedzia, a nie łapką królika. To proste. Słabość UN zilustrowana została i teraz, na przykładzie zatargu persko-sowieckiego. Nie znaczy to wcale, że UN pozbyło się niebezpiecznego ciężaru irańskiego. Zamkniętym całkowicie zatarg sowiecko-perski nie jest i może wkrótce nanowo zaognić się niebezpiecznie.

Zaledwie Rada Bezpieczeństwa UN pozbyła się kłopotu irańskiego, a już grozi jej nowy konflikt w związku z forsowaniem przez Moskwę kwestji przyjęcia do UN przez komunistów opanowanej Albanji. Jest rzeczą znamienną, że w przeddzień rozważania tej sprawy przez Radę Bezpieczeństwa, rząd brytyjski cofnął uznanie dla reżymu albańskiego i, niewątpliwie, Wielka Brytanja jest w tej sprawie popierana przez Stany Zjednoczone. Znowu tedy na terenie UN dojdzie do starcia pomiędzy Rosją Sowiecką a grupą anglo-saską. Znowu ujawni się pełne rozbicie wewnętrzne.

Panuje tendencja, aby symbol Organizacji Narodów Zjednoczonych — UNO zmienić, skrócić na UN. Właściwie, zgodnej z prawdziwym stanem rzeczy, należałoby z dotychczasowego symbolu UNO, wykreślić UN a pozostawić to, czem Organizacja Narodów Zjednoczonych realnie się okazuje — O.

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

"ZBIERZEMY MILJON DOLARÓW"

Apel Kongresu Polonji Amerykańskiej do wszystkich parafji, organizacji, towarzystw, klubów polskich i do wszystkich ludzi dobrej woli.

Rodacy:

Miesiąc maj wyznaczony został przez Kongres Polonji Amerykańskiej jako miesiąc zbiórki miljona dolarów, potrzebnego na coraz rozleglejszą akcję do jakiej organizacja ta została powołaną.

Cele, jakie Kongres Polonji ma wytknięte, zagadnienia jakie ma do wypełnienia, są tak WIELKIEGO ZNACZENIA DLA CAŁEJ POLONJI, że nie ma tak wielkiej sumy, któraby była za wielką na tego rodzaju akcję.

Kongres rzucił hasło zebrania na tę akcję miljona dolarów!

Polonja nie ma miljonerów tak jak Żydzi, którzy postanowili zebrać na cele, jakie sobie nakreślili — sto miljonów dolarów. Polonja ani nie jest tak liczna, ani tak bogata zamożnością poszczególnych obywateli, jak Federacja Kościołów Protestanckich, która postanowiła zebrać na cele, jakie sobie wytknęła — 56 miljonów dolarów.

Ale za to patrjotyzm Polonji, ale duch ofiarności obywateli polskiego pochodzenia jest wielki. Fundusz potrzebny na akcję Kongresu Polonji może być i będzie zebrany. Sprawa ta wymaga jedynie pilności, entuzjazmu, współpracy nas wszystkich i dobrej, sprawnej organizacji. Wymaga wysiłku ludzi dobrej woli.

A WIĘC: NA SZERZENIE PRAWDY O POLSCE; NA URABIANIE ZROZUMIENIA WPOŚRÓD AMERYKANÓW DLA WOLNOŚCIOWYCH DĄŻEŃ LUDU POLSKIEGO; NA POPULARYZOWANIE WŚRÓD AMERYKANÓW ZNACZENIA STAREJ KULTURY NARODU POLSKIEGO; NA PRACĘ OŚWIATOWĄ; NA PODTRZYMANIE PRASY POLSKIEJ; NA ZWIĘKSZENIE ZNACZENIA POLONJI — ZBIERZMY MILJON DOLARÓW!

Zadania te są ważne, są wielkie i muszą być bliskie sercu każdego obywatela amerykańskiego polskiego pochodzenia.

Kongres Polonji Amerykańskiej powstał jako konieczna potrzeba zjednoczenia się Polonji Amerykańskiej — jako żywiołowy odruch protestu obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia przeciw niesprawiedliwości wyrządzonej Polsce, krajowi naszych przodków, powstał jako wyrzut sumienia dla tych, którzy Polskę skrzywdzili i którzy ją krzywdzić pomagali; powstał jako ostrzeżenie dla tych, którzy ją dalej krzywdzą.

Od początku swego istnienia Kongres Polonji wskazywał na konsekwencje — jakie stwarza oddanie Polski, a z nią i innych krajów Europy, w niewolę komunistycznej Rosji.

Na to, czemu dają wyraz dzisiaj najwyższe władze tego kraju, oraz najwybitniejsi jego przedstawiciele, Kongres Polonji dawno wskazywał w swych memorjałach i listach do najwyższych urzędników — do Prezydenta, do Sekretarza Stanu, do Senatorów i Kongresmanów.

Podnosiła to i podnosi stale prasa, współpracują z Kongresem Polonji. Dzisiaj ta prawda staje się coraz widoczniejszą dla całego Narodu Amerykańskiego, że wolna i niepodległa Polska — to gwarancja wolności dla wszystkich innych narodów świata. Dzisiaj powszechnie zaczyna się utrwalać przekonanie, że kto broni niepodległości Polski, kto broni praw do wolności Narodu Polskiego, broni jednocześnie i wolności innych narodów, a w tem i wolności Stanów Zjednoczonych.

Świat stoi obecnie wobec niebezpieczeństwa komunistycznego, tak groźnego jakiem jest niebezpieczeństwo nazistowskie.

Komunizm zagraża również i Stanom Zjednoczonym, zagraża może więcej niż innym krajom.

Dzisiaj można jeszcze uchronić świat przed nowym kataklizmem; można odwrócić groźbę nowej wojny — przez przywrócenie wolności i praw ujarzmionym narodom. Ale za rok czy dwa, może już być zapóźno.

Kongres Polonji musi wzmóc swoją akcję w żądaniu wolności dla Polski i narodów ujarzmionych.

DLATEGO ZWRACAMY SIĘ Z APELEM DO WSZYSTKICH RODAKÓW I RODACZEK, ABY STARALI SIĘ ZAPEWNIĆ POWODZENIE ZBIÓRCE MAJOWEJ, ZWRACAMY SIĘ Z WEZWANIEM DO WSZYSTKICH PARAFJI, ORGANIZACJI, TOWARZYSTW, KLUBÓW POLSKICH I T. D. — O WSPÓŁPRACĘ W AKCJI ZBIÓRKOWEJ.

Żadna organizacja, składająca się z obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia, która ma poczucie odpowiedzialności wobec swej Ojczyzny i wobec Kraju swych przodków — nie może w tej sprawie stać obojętnie na uboczu.

Pod nadzorem Zarządu Wykonawczego i Wydziałów Stanowych, a pod kierownictwem Komisji Finansowej — cała zorganizowana i patrjotyczna Polonja — z pewnością stanie do tej akcji.

W każdem osiedlu polskiem powinien powstać Komitet czy Komitety zbiórki. W skład Komitetów powinni wchodzić przedstawiciele Parafji, Organizacji, Towarzystw, Centrali, Klubów, Piacówek Weteranów, Gniazd Sokolich i t. d. — oraz zasłużone w pracy narodowej jednostki.

Za Zarząd Wykonawczy Kongresu Polonji Amerykańskiej:

Karol Rozmarek, prezes
Honorata B. Wołowska, sekretarka
Jan J. Olejniczak, skarbnik.

Za Komisję Finansową:

Ignacy Nurkiewicz, przewodniczący
Józef Piech, wiceprzewodniczący.

DEPESZA DO UN

Związek Obrony Niepodległości Polski wysłał w dn. 3 b. m. do członków Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych następującą depeszę:

"Związek Obrony Niepodległości Polski ,grupujący Polaków wiernych konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, lojalnych wobec prawowitego Rządu Polskiego, oświadcza, co następuje:

T. zw. rząd polski w Warszawie, złożony częściowo z obywateli ZSSR, w większości zaś swej z komunistów i agentów sowieckich, nie został powołany przez Naród Polski i nie otrzymał jego aprobaty, nie jest zatem rządem Polskim i nie reprezentuje woli Narodu Polskiego.

Ten niezaprzeczalny fakt z wolna przenika do świadomości świata, opartego na zasadach demokracji oraz cywilizacji zachodniej. Świat demokracji i prawa poczyna zdawać sobie sprawę, że decyzje powzięte w Teheranie, Moskwie, Jałcie i Poczdamie były pogwałceniem Karty Atlantyckiej, sankcjonując nowy rozbiór Państwa Polskiego i narzucając Narodowi Polskiemu rządy oparte na przemocy obcej.

Wobec wyżej wyłożonego stanu rzeczy p. Oscar Lange nie może być uważany za reprezentanta woli i przekonań Narodu Polskiego. W Radzie Bezpieczeństwa UN p. Lange reprezentuje tylko grupę agentów sowieckich, dzisiaj rządzących w Polsce. Do wystąpień oraz oświadczeń p. Langego należy przywiązywać wagę, odpowiadającą tej jego roli.

Za Związek Obrony
Niepodległości Polski —
dr. Józef Frejlich.

OPINJE I ZDARZENIA

UMARŁ ROMAN KNOLL

Zmarł w Polsce Roman Knoll, jeden z najwybitniejszych polskich dyplomatów, b. poseł w Moskwie, Rzymie i Berlinie oraz były wice-minister spraw zagranicznych. Knoll, prawnik z zawodu i talentu, wszedł do dyplomacji z prac wewnętrzno-politycznych i wniósł w swoje nowe powołanie te szerokie horyzonty, które zainteresowanie ogólno polityczne dla dyplomacji otwierają. Był to człowiek o inteligencji niezwykłej, bardzo błyskotliwy, sławny z ostrego i bezlitosnego dowcipu. Te zalety — były też powodem, że osiągał wszystko łatwo i łatwo nudził się swemi osiągnięciami. Uchodził też za typowego schyłkowca zdolnego do świetnych syntez i doskonałych pomysłów, ale nie mającego sił ani chęci ich realizować. W czasie wojny okazał przecież jak wielu ludzi tych pozorów — charakter niezwykły, zajmując ważne posterunki w pracy podziemnej. Napisał też pod pseudonimem Lucjan Bielski pracę filozoficzno-społeczną, wysokiego polotu duchowego, która ogłoszona była w Londynie.

KARDYNAŁ SAPIEHA ZAWSZE W OBRONIE UCIŚNIONYCH

W przemówieniu z okazji nominacji nowych kardynałów komentator radja watykańskiego mówiąc o kardynale Sapieże przypomniał nieznany szerszemu ogółowi fakt, że kardynał w czasie likwidowania ghetta warszawskiego godzinami czekał w przedpokoju gubernatora Franka, aż wreszcie doczekał się przyjęcia, aby zaprotestować przeciw zbrodniom niemieckim. Kardynał Sapieha słynie z wielkiego poczucia swej godności i nigdy w przedpokojach nie wystawał. — Tym razem właśnie poczucie godności kardynała kazało mu uczynić wszystko, aby dopełnić chrześcijańskiego obowiązku i postąpić jak na prawdziwego księcia kościoła przystało.

"CZYTELNIK" NIE POZWALA CZYTAĆ PISM LUDOWYCH

Spółdzielnia "Czytelnik" mająca monopol na sprzedaż pism w Kraju odmówiła brania do kolportażu pism Polskiego Stronnictwa Ludowego. Co na to pan Mikołajczyk? Jak w świetle tego wygląda wolność i ludowość, które jakoby ratował jadąc do Polski, a z których kpią sobie ci, których swem nazwiskiem zafirmował?!

NOWY WIELKI SUKCES PIANISTKI POLSKIEJ



Maryla Jonasówna

Dn. 30 marca Maryla Jonas dała swój drugi recital w Carnegie Hall tym razem w sali wypełnionej po brzegi. Artystka została przyjęta entuzjastycznie nietylko przez publiczność, ale i krytycy nowojorscy nie szczędzą jej najwyższych pochwał.

Sprawozdawca muzyczny The New York Times'a p. Olin Downes pisze, że gdy wszedł na salę p. Jonas grała Toccate Bacha i: "odrazu doszedł do wniosku, że słucha poety i mistrza fortepianu. To wrażenie nie zmieniło się, ani nie osłabło przy słuchaniu siedmiu kompozycji, które grała". Nie słyszał on p. Jonas przedtem, chociaż miała już swój nie poprzedzony reklamą debiut w New Yorku w dn. 25 lutego, ale na podstawie doświadczenia z tego koncertu, jest głęboko przekonany, że artystka "ma mało sobie równych wykonawców wśród przodujących pianistów współczesnych". Swoje świetne sprawozdanie Olin Downes kończy temi słowami: "Nietylko jest miejsce dla takiej pianistki w pierwszych rzędach w jej zawodzie, ale jest jej tam konieczna potrzeba".

Miarą sukcesu artystycznego p. Jonas są długie artykuły w tygodnikach "Newsweek" i "Time" wraz z jej dużemi fotografjami.

Jak się dowiadujemy w październiku p. Maryla Jonas weźmie udział w koncercie symfonicznym w Carnegie Hall pod batutą Artura Rodzińskiego, powiększając w ten sposób liczbę zaangażowanych solistów polskich na przyszły sezon z 5 do 6.

Zasłużony sukces naszej znakomitej rodaczki napawa wszystkich Polaków wielką i szczerą radością.

FRANCUSKI DOWCIP O LANGEM

W nowojorskim tygodniku francuskim "France-Amerique" redaktor tego pisma p. Leon Guredan dając sylwetki członków Komisji Bezpieczeństwa UN robi na temat pana Langego taki kalambur "Lange gardien?" (L'ange gardien — znaczy anioł stróż.) "Non — Lange garde". (Nie, Lange stróżowany).

MIKOŁAJCZYK

W interesującym numerze Biuletynu organizacyjnego KNAPP za luty i marzec, w artykule Stanisława Szardeckiego p. t. "Koncesjonowana opozycja" czytamy następujący ustęp:

"P. Mikołajczyk wsiadł świadomie do pociągu, którego maszynistą jest Stalin. W kurytarzach tego pociągu p. Mikołajczyk czasem usiłuje posunąć się w kierunku zachodnim. Ale cały pociąg wraz z nim jedzie na wschód — coraz głębiej w niewolę".

LISTY ŻOŁNIERZY

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

. . . Jestem żołnierzem II-go Polskiego Korpusu w Italji, uczestnikiem całego powstania warszawskiego; urodziłem się w Warszawie w roku 1922.

Jestem gorącym czytelnikiem Pańskiego pisma, które poważam za to, że nie poszło na lep obietnic "panów" Bierutów i Osóbek, ale trwa twardo i niezłomnie w swej wierności dla prawowitego Rządu Polskiego. Ponieważ i my trwamy i trwać będziemy, mamy wspólną, przejasną ideę, która nas łączy. Życie nasze jest ciężkie. Stale pod adresem naszego Korpusu rzucane są oszczerstwa i kłamstwa. Nawet sami Anglicy nie odnoszą się do nas tak jak kiedyś. Wszystko to jest dla nas bardzo przykre. Bo przecież nam się należy coś za naszą krew przelaną w walce za wspólną wszystkich narodów sprawę. Choć nas los pokarał srodze, bo Ojczyzna nasza jest pod zaborem, my trwamy tu z wiarą i ufnością w przyszłość. Święte słowa naszego Wodza Generała Andersa sprawdzą się i ..."wrócimy do takiej Polski, o jaką walczyliśmy i jaką nosimy w naszych sercach"...

Ale przystąpmy do rzeczy, ponieważ tematem mojego listu była całkiem inna sprawa. Otóż wielu moich kolegów nawiązało korespondencję z Ameryką i poznajdowało sobie opiekunów t. zw. "mamusie wojenne". Ja jestem zupełnie sam, nie mam nikogo znajomego w Ameryce, więc pozwoliłem sobie napisać do Pana z prośbą o pomoc w tej sprawie. Przecież napewno ktoś się znajdzie, kto zainteresuje się mną, nawiąże korespondencję i t. d.

Wierzę, że będzie Pan łaskaw mi to ułatwić. Raz jeszcze przepraszam, że niepotrzebnie niepokoiłem Pana, ale wiem i wierzę, że tylko Pan może mi w tej sprawie pomóc.

Przesyłam pozdrowienie dla Rodaków w Ameryce od polskich żołnierzy II-go Korpusu,

pozostaję z poważaniem,
Sierż. podchor. Jerzy Robaczewski
Polish Forces
C. M. F. 178.

Drogi Panie Redaktorze:

Uprzejmie dziękuję za regularną wysyłkę "Tygodnika Polskiego", którego treść pochłaniamy z niesamowitym apetytem. Proszę mi wierzyć, że bardzo dotkliwie odczuwamy brak dobrej książki polskiej na okupacji w Niemczech. Książka i pismo polskie to jedyny artykuł, którego nam brak. Dlatego też zwracam się uprzejmie do Pana jak i wszystkich tych, którzy chcieliby przyjść nam z pomocą z prośbą o przesyłanie nam polskich książek i politycznych pism.

Pracujemy nad stworzeniem bibljoteki żołnierskiej, tej niezbędnej instytucji w naszem życiu na obczyźnie — proszę Pana Redaktora o zwrócenie się z apelem do miarodajnych czynników z gorącym apelem i do wszystkich chętnych z prośbą o przyjście nam z pomocą.

Równocześnie proszę uprzejmie Pana Redaktora w imieniu mojego Dowódcy Pułku o wysyłkę pod moim adresem pism polskich na korzyść czytelni żołnierskiej. Sprawę uregulowania należności proszę uprzejmie podać mi w kilku słowach przez swojego sekretarza.

Jestem przekonany, że Pan zajmie w tej sprawie stanowisko pozytywne, za co Panu serdecznie dziękuję.

Osobiście korzystam od przeszło dwóch lat z uprzejmości tamtejszej Polonji i regularnie otrzymuję bardzo cenne pisma współczesnych literatów. Sądzę, że Pan mi dopomoże w mojej prośbie, którą przesyłam na ręce Pana Redaktora. Będę bardzo wdzięczny Panu za to, że w takich ciężkich dla nas chwilach na obczyźnie, przyjdzie od czasu do czasu tak pożądane słowo polskie — co wszystko zawdzięczam ja i moi koledzy właśnie Panu Redaktorowi.

Łączę wyrazy szacunku, raz jeszcze dziękuję za grzeczność, z poważaniem

ppor. Alfred Skorecki
Polish Forces P/27